

Zaczynam tonąć, najpierw tonę w dźwiękach, a potem, już spokojnie, dryfuję półświadomie z moimi nadbałtyckimi marami sennymi; docieram do tych wszystkich mórz i oceanów, nad którymi nigdy nie będę, smakuję potraw, których nigdy nie spróbuję, podziwiam drogie butelki wina, których nie będzie mi dane odkorkować. Ta chwila zapomnienia dość szybko się ulatnia; jestem przecież na Małym Rynku, w Krakowie, w miejscu, gdzie jeszcze całkiem nie tak dawno temu chłopci zarzynali świnie i sprzedawali kury, a szlachta sprzedawała chłopów.

Idę niechętnie przed siebie, mijam starsze panie, które trzymają sztandary z poszatkowanymi płodami; krzywię się, one też się krzywią, perspektywa dnia ulega zakrzywieniu, jest nieprzyjemnie.

Skręcam w stronę Szpitalnej, widzę dom numer jedenaście, nie tak wyobrażałem sobie ten spacer. Z widmowych, pokiereszowanych okien patrzą się na mnie nieobecne ślepia dzieci molestowanych *przecieżsamyhsobiewinnych* i zgwałconych kobiet, które *przecieżsamesięotprosiły*, ale zakonnice się nimi opiekują, winny już żyje w odosobnieniu, a Bóg wszystkich równo potraktuje, na razie więc cicho, ci chutko i pod dywan, będzie dobrze, będzie dobrze. Gdzieniegdzie spacerują też ostentacyjnie i bezparadonowo te nazistowskie, łyse skurwysyny wygrażające białymi pięściami w kierunku żółtego słońca, które za nic w świecie nie chce być białe.

Przystaję i kupuję obwarzanka od małego chłopca, który próbuje się do mnie uśmiechnąć. Zamiast maku piasek zgrzyta mi między zębami. Śniadanie nie należy do najprzyjemniejszych, ale jakoś udaje mi się je przełknąć. Wstępuję do hotelu Pod Żółtą Kotwicą, ale wita mnie tylko pustka, więc idę dalej, a za mną wciąż pada i pada. Deszcz nie odpuszcza, krople są wielkości grochu, wody przybywa i przybywa, a w sklepach i barach sprzedają i sprzedają tę wódkę i to piwo; jest tłoczno, jak zawsze o tej porze, a może i nawet tłoczniej, jakby coś wisiało w powietrzu, może wiosna, na którą wszyscy tak czekają, a może ta jesień, która nigdy nie przemija.

Na Floriańskiej zaczepiają mnie naganiacze, proponują świeże, żywe mięso tańczące w podziemnych lochach na metalowych rurkach. Długo się nie opieram – dostałem zniżkę na truciznę i pierwszy taniec, nie zastanawiam się więc dłużej i hyc, nurkuję do jednej z piwnic. Błoto jest wszędzie, ledwo dopycham się do mojej wybranki, której macham przed oczami plikiem banknotów.

Płacę za taniec, *tańcz, kurwo, tańcz!* da się słyszeć ze wszystkich stron od podchmielonej klienteli, powtarzam za nimi i krzyczę coraz głośniejsze, jej szklą się oczy, to chyba łyzy, klepię mocniej w chude pośladki, ona odwraca głowę i kręci energiczniej tyłkiem – odtwarzanie roli wraca do normy. Orkiestra rżnie R&B, drogie alkohole leją się strumieniami. Wszyscy dookoła przeczuwają koniec, więc chłają, ile wlezie, tylko panie od rurek nie piją – zbierają napiwki w nadziei, że to już ten ostatni raz, a potem szerokie wody, car-te blanche i Nowy Świat za oceanem. Jedna z nich, długonoga blondynka, podchodzi do mnie i mówi, że studiowała psychologię i religioznawstwo, ale za mało zarabiała, dlatego woli kręcić dupą, tutaj i w okolicznych portach. Nie wiem, po co mi to mówi, zapewne nie jestem pierwszym, który słyszy tę gadkę, *tańcz, kurwo, tańcz!* – błoto sięga już kolan, pora na ewakuację, wspinam się wyżej po metalowej drabince, mijam piętro, gdzie każdy kopuluje z każdym (w błocie) w przeróżnych konfiguracjach, mijam piętro, gdzie trwa walka (w błocie) na śmierć i życie o ostatnią butelkę burbonu, wreszcie mijam piętro gdzie postanowiono utopić (w błocie) i złożyć w ofierze jedną z tancerek.

Zaprowadźcie mnie do Betel ktoś krzyczy i chwyta mnie za rękę, ale odtrącam go. Słyszę tylko cichy jęk

zawodu i cierpliwie wspinam się dalej, już niedaleko, światło jest coraz bliżej. W końcu wydostają się na pokład. Wyglądam za burtę, miasto całe jest zalane i w szampańskim nastroju, ktoś zamawia łódkę, ktoś rzyga, ktoś się z kimś okłada pięściami, całkiem spora grupa majtków szczy pod Teatrem Słowackiego. Festyn, fiesta, ja pierdolę!

Woda jest już coraz zwawsza, zatacza mordercze kręgi i zaczyna wciągać, pochłaniać. Sęk w tym, że całe to miasto jest nawciągane i w stanie wiecznopiątkowym – nikogo cały ten potop i śmierć za bardzo nie obchodzi, kościół stoi pusty, burdele, które należą do niego, pękają w szwach.

Mija północ, godzina druga, pierwsza czy tam trzecia, kapitan zalany w trzy dupy, statek podskakuje na falach i giba się na boki, coraz więcej wody, coraz więcej błota. Może jakimś cudem dopłyniemy do soboty, ale – jak na zawołanie – abordażu dokonują najebani Babilończycy, którym się ten nasz Betel nigdy nie podobał. Siepią na ośle maczetami, o mały włos i dostałbym kosę pod zebro, wspinam się więc na bocianie gniazdo, niech się tłuką. Odbijamy się od Barbakanu, niesie nas teraz w kierunku Księgarni Pod Globusem. Żaglowiec z tysiąc dziewięćset piątego roku już dawno odpłynął i zabrał ze sobą cały literacko-kulturalny dobytek; zostały tylko nieliczne egzemplarze literackiej miernoty, której nikt nie chciał zabrać, nawet jako opał do kominka. Tumult na dole już nieco mniej żywiołowy, Babilończycy biorą w niewolę kilka bardziej dorodnych tancerek i próbują podpalić maszt, ale jest mokro, lecą więc butelki naszych dzielnych wojaków, którzy nagle przetrzęźwieli. Betel się przebudził, kobiety im zabrano, Babilończycy w popłochu uciekają, grupa pościgowa za nimi, ale mnie to już nie interesuje; widzę, jak horyzont zdarzeń się załamuje, milkną surrealne echa, w czarnej dziurze statki toną wraz z załogą.

Dziękujemy za podróż z Miejskim Przedsiębiorstwem Komunikacyjnym w Krakowie, koniec trasy, proszę wysiadać i proszę na siebie uważać, bo – jak dodaje motorniczy – dzisiaj będzie bardzo mocno padało.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Wiktor Orzel, dodano 13.07.2017 12:15

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.